

O. Wenanty Katarzyniec Franciszkanin

Z końcem marca b.r. mija piętnaście lat od chwili, w której O. Wenanty, w opinii świętości, opuścił cicho ziemskie wygnanie i pospieszył po nagrodę wiekuiestej chwały.

Wierny ten naśladowca św. Franciszka Serafickiego, rozmiłowany w ubóstwie, pokorze, zaparciu się siebie, pałający gorącą miłością Boga i bliźniego, nietylko za życia czynił dobrze wszystkim, co mieli szczęście z nim się spotkać, ale i teraz wyprasza z nieba wiele łask wzywającym jego wstawiennictwa...

W cichej wiosce Obydowie, należącej do lwowskiej archidiecezji, ujrzał O. Wenanty światło dzienne 7 października 1889 r., a na Chrzcie św. otrzymał imię Józef.

Od zarania życia był wielką pociechą zacnych i pobożnych, lecz ubogich rodziców; a w hałaśliwych zabawach i złośliwych figlach rówieśników nie brał nigdy udziału. Mimo to uprzejmością obojczy i wielką uczynnością tak pozyskał serca kolegów, że na jego wezwanie chętnie odmawiali z nim różaniec i śpiewali pobożne pieśni.

Najgorętszym pragnieniem małego Józia było: zostać kiedyś księdzem, to też wszystko, co się odnosi do służby Bożej niezmiernie go interesowało. Nie tylko strugał z drzewa krzyżyki i figurki święte, ale sporządzał także z papieru bardzo misternie szaty kapłańskie, ubierał się w nie i naśladował obrzędy kościelne.

Wcześniej nauczył się ministrantury, ale nie miał nadziei dostać się prędko do ołtarza, bo starsi chłopcy, służący do Mszy Św., nie dopuszczali nowych przybyszów.

Raz powrócił Józio z kościoła (do którego co dzień uczęszczał, mimo 4-ro kilometrowej odległości) promienny niebiańskim szczęściem i zawołał: „Mamo! mammo! służyłem dzisiaj do Mszy Św.!” Matka przytuliła synka czule do serca, dzieląc jego radość, ale nie dowiedziała się nigdy, co musiał wycierpieć od innych ministrantów i że tylko dzięki energicznej interwencji ks. proboszcza mógł spełnić świętą posługę.

Tak było przez całe życie: cichy i łagodny Józio a potem O. Wenanty, dzielił się czasem z otoczeniem doznana radością, ale o tem, co cierpiał i ile cierpiał, wiedział tylko Bóg.

Początkowo uczęszczał do szkoły w rodzinnej wiosce, potem przez 5 lat uczył się w Kamionce Strumiłowej i przez rok w szkole wydziałowej w Radziechowie.

Wszędzie celował we wszystkich przedmiotach z podziwem nauczycieli i współuczni, którzy go serdecznie kochali za chętną pomoc w nauce.

Gdy Józio ukończył III klasę wydziałową w Radziechowie, ojciec postanowił wysłać go do seminarjum nauczycielskiego we Lwowie, spodziewając się, że zdolny i pracowity chłopiec zarobi sobie korepetycjami na utrzymanie. Józio zastawiał się, odczuwanem coraz wyraźniej, powołaniem do stanu kapłańskiego i błagał, by mu pozwolono uczęszczać do gimnazjum – ale ojciec był nieugięty i pocieszał syna argumentem, że dobry nauczyciel to także apostoł.

Zaczął więc Józio uczęszczać we Lwowie do seminarjum, gdzie wkrótce niezwykłym, wszechstronnym talentem, sumienną pracą, szlachetnością charakteru i pięknymi cnotami zwrócił na siebie powszechną uwagę.

„Te cenne przymioty, utorują Katarzyńcowi drogę do szczęścia w świecie” – szeptali nieraz profesorowie ale celujący kandydat nauczycielski bał się właśnie świata z jego ponętami i po skończeniu III kursu ze świetnym świadectwem w ręku zapukał do furty klasztoru OO. Franciszkanów we Lwowie, prosząc pokornie o przyjęcie do zakonu.

Ówczesny O. Prowincjał poznał odrazu, że to niezwykła dusza, ale wystawił go jeszcze na próbę, polecając, by zdał maturę, by nauczył się trochę łaciny a po upływie roku zgłosił się powtórnie.

Gdy rok minął, Józef Katarzyniec ponowił swą prośbę. Przy egzaminie z łaciny okazał tak wszechstronną znajomość tego języka, że wszystkich wprawił w zdumienie.

Dnia 25 sierpnia 1908 r. otrzymał habit zakonny i nowe imię: Wenanty, w uroczystość Niepokalanego Poczęcia 1912 r. złożył uroczyste śluby zakonne, a 2-go czerwca 1914 wyświęcony został na kapłana w Krakowie.

Po pierwszej Mszy św. odprawionej w kaplicy M. Boskiej Bolesnej wyjechał do Lwowa, bo miał sprawować obowiązki wikarego w Czyszkach.

Przed rozpoczęciem tej pracy udał się do Obydowa, aby mieszkańcom rodzinnej wioski udzielić prymicyjnego błogosławieństwa i tu zaskoczyła go wojna.

Ludność wioski, przerażona wieścią o nadciągającym wojsku rosyjskim, pakowała ubogi dobytek na furmanki, by w ucieczce szukać ratunku. O. Wenanty powstrzymał ich od tego zamiaru. W gorących słowach zachęcał wszystkich, by w opiece Bożej całą ufność złożyli i by w tej intencji spokojnie i nabożnie wysłuchali Mszy św. W końcu dorzucił prorocze słowa: „zobaczycie, że żołnierze nie tylko nie zrobią wam żadnej krzywdy, ale przyjdą nawet do kościoła i będą się spowiadać”.

Natchnione słowa młodego kapłana uspokoiły wystraszony tłum i wszyscy zawrócili do kościoła. W czasie Mszy św. wojsko rosyjskie przybyło do wsi, a że było w nim wielu Polaków, więc ci weszli do kościoła i oblęgli konfesjonał, a po spowiedzi św. przyjęli Komunię świętą.

Na pocieszaniu ludu i niesieniu mu wszelkiej pociechy przebył O. Wenanty trzy tygodnie. Tęsknił niezmiennie za klasztorem, lecz komunikacja ze Lwowem była przerwana. Wreszcie, gdy nieco się uspokoiło, wybrał się piechotą do Lwowa, przedzierając się przez lasy i pola przebył blisko 60 kilometrów, a w klasztorze powitano go z nieopisaną radością, bo krążyły tu pogłoski, że w rodzinnych stronach uśmierciła go zabłąkana kula.

Wkrótce po powrocie został O. Wenanty przydzielony do Czyszek. Jaka była tam jego działalność określają słowa O. Karola Olbrycha: „Każdy kto miał szczęście poznać bliżej O. Wenantego musiał przyznać, że jest to kapłan według Serca Bożego i kandydat na „Świętego” – za takiego mieli go też wszyscy parafianie.

Niedługo jednak cieszyły się Czyszki pełną poświęcenia pracą O. Wenantego. Przełożeni, uznając w nim niepospolite cnoty i zdolności, mianowali go mimo młodego wieku – Magistrem nowicjuszków we Lwowie.

W wychowywaniu młodzieży zakonnej miał osobliwy, nadziemski system: bardzo wzniosły a przecież pełen jasności i prostoty.

Przemawiając po raz pierwszy do poruczonych mu wychowanków, z taką pokorą przedstawił swą nieudolność i brak doświadczenia do sprawowania pełnej odpowiedzialności obowiązku, że niektórzy nowicjusze, uważający się za dość mądrych, postanowili pouczać w razie potrzeby biednego Magistra.

Tymczasem O. Wenanty, pełen ducha Bożego, a przytem zasobny w wszelaką wiedzę, kierując się zawsze serdeczną miłością, zabrał się do pracy stanowczo i dzielnie, a z taką roztropnością, jak gdyby długie lata doświadczenia miał za sobą.

Obok pracy w nowicjacie, w konfesjonale i na ambonie, prócz pisania cennych artykułów do „Gazety Kościelnej”, miał ten świątobliwy zakonnik jeszcze czas i na to, by śpieszyć z posługą duchowną do nieszczęśliwych kalek na Kurkowej. Była tam jedna chora, której twarz zeszepecił w okropny sposób złośliwy rak. Nie miała już wcale nosa, miejsce dawnych pięknych oczu

wskazywały tylko wąskie szpareczki, na palcach rąk ciało psuło się i odpadało, wydając woń odrażającą. Kto z konieczności musiał się zbliżyć do nieszczęśliwej, uciekał natychmiast, a O. Wenanty śpieszył do tej biednej chorej bardzo chętnie, cierpliwie słuchał jej spowiedzi św. i w długiej serdecznej, pełnej współczucia nauce, niebiańską pociechę wlewał w zbolełą duszę.

Po każdym takim heroicznym poświęceniu następowało mniej lub więcej poważne niedomaganie fizyczne – a mimo to miłosierny Samarytanin nadal chorą odwiedzał, jakby go to nic nie kosztowało.

Seraficka miłość Boża, ogarniająca coraz silniejszym płomieniem całą istotę Ojca Wenantego i wszechstronne zajęcia, w które wkładał wszystkie żywotne siły, zaczęły – szczególnie od roku 1918 coraz bardziej wyniszczać jego wątły organizm.

Dla poratowania zdrowia wysłano go najpierw na wypoczynek do Hanaczowa a później na Kalwarię Paclawską. I tutaj, jakby na szczycie Golgoty ten, co całe życie „z Chrystusem przybity był do krzyża”, O. Wenanty Katarzyniec, umarł śmiercią błogosławionych 31 marca 1921 roku mając lat 32.

Esha.

Esha, *O. Wenanty Katarzyniec. Franciszkanin.*, Pochodnia Seraficka, 3(1936)73-77.